





Yi Mun-yol

**Nasz skrzywiony bohater**

Tytuł oryginału: Urideul-ui ilgeureojin yeongung

Copyright © 1987, Yi Mun-yol

All rights reserved.

This Polish edition was published by Wydawnictwo Kwiaty Orientu in 2015

**Redaktor**

Katarzyna Gańko

**Projekt okładki**

Żaneta Rusocka

**Korekta**

Katarzyna Gańko

Marzena Stefańska-Adams

**Publikacja została dofinansowana  
przez Literature Translation Institute of Korea**

**Skład i łamanie**

STUDIO DTP WOJCIECH CIĄGŁO

[www.dtp-studio.pl](http://www.dtp-studio.pl)

ISBN 978-83-935271-9-9

Wydawnictwo Kwiaty Orientu

26-110 Skarżysko-Kamienna, ul. Konopnickiej 12/42

Telefon: 41 2524870

E-mail: [pytanie@kwiatyorientu.com](mailto:pytanie@kwiatyorientu.com)

Strona internetowa: [www.kwiatyorientu.com](http://www.kwiatyorientu.com)

**Druk i oprawa**

Drukarnia im. A. Półtawskiego

[www.drukarnia.kielce.pl](http://www.drukarnia.kielce.pl)

Yi Mun-yol

# Nasz skrzywiony bohater

Z koreańskiego przełożyła  
Katarzyna Różańska



Minęło już prawie trzydzieści lat, ale za każdym razem, gdy wspominał swoją samotną i wyczerpującą walkę ciągnącą się od wiosny do jesieni tamtego roku, jestem zagubiony i przygnębiony, zupełnie tak jak wtedy. Prawdopodobnie wdajemy się w takie spory nieustannie przez całe nasze życie i być może czuję się tak teraz, bo ciągle nie potrafię przyjść do siebie po tym, co się wówczas wydarzyło.

Mniej więcej w połowie marca tego roku, kiedy liberałowie cieszyli się końcowym okresem swojej władzy, przenieśliem się z prestiżowej szkoły podstawowej w Seulu – gdzie chodziłem z dumą – do niczym niewyróżniającej się podstawówki w małym mieście. Miałem wtedy dwanaście lat i zaczynałem piątą klasę. Cała nasza rodzina wyprowadziła się na prowincję, ponieważ ojciec, który przedtem był pracownikiem administracji publicznej, został zdegradowany i przeniesiono go właśnie tu.

Już od pierwszego dnia po przeprowadzce, kiedy tam przyszedłem odprowadzony za rękę przez matkę, moje rozczarowanie szkołą podstawową Y nie miało końca. Do tej pory byłem przyzwyczajony do oglądania nowych kompleksów szkolnych rozplanowanych wokół majestatycznego trzypiętrowego gmachu głównego z czerwonej cegły. Tutejsza szkoła była starym cementowym budynkiem w stylu japońskim z kilkoma zdemolowanymi, żaloznymi klasami. Od razu zobaczyłem w wyobraźni siebie jako zdetronizowanego księcia w ruinach. I choć duży nie zawsze oznacza dobry, już sam fakt, że przyszedłem z podstawówki, gdzie w jednym roczniku uczyło się piętnaście klas – a tutaj było ich zaledwie sześć – sprawiał, że mimowolnie patrzyłem na tę szkołę z góry. Przywykłem do

uczenia się tylko w klasach mieszanych, więc surowy podział na grupy chłopców i dziewcząt, jaki tu zastałem, wydawał mi się zacofany.

Ale to jeszcze nie wszystko. Moje pierwsze wrażenie spotęgował tylko pokój nauczycielski. W szkole, do której chodziłem do tej pory, jak przystało na jedną z lepszych szkół w Seulu, pokój był przestronny i jasny, a nauczyciele w nim zawsze schludni i tryskający energią. Tutaj było to niewielkie pomieszczenie, w którym siedzieli zasępieni nauczyciele. Ich jedynym zajęciem było wydmuchiwanie dymu z papierosów; przypominali prostych wieśniaków. Także wychowawca, który wyszedł, by przywitać się ze mną i z matką, okazał się daleki od moich oczekiwań. Nawet jeśli nie mogła być to piękna i uprzejma nauczycielka, myślałem, że będzie to chociaż łagodny i liczący się z innymi elegancki mężczyzna. Zaschnięta biała plama po *makgeolli*<sup>1</sup> na rękawie jego marynarki powiedziała mi jednak, że nie mam na co liczyć. Włosy miał nieuczesane, nie używał brylantyny, patrzył na moją matkę, udając, że słucha, a jego twarz wyglądała tak, jakby nie umył jej dzisiejszego poranka. Naprawdę nie mogłem być bardziej zawiedziony, że ktoś taki jak on miał zostać moim wychowawcą. Być może to spotkanie było pewnego rodzaju zapowiedzią fatalnej relacji, która miała ciągnąć się przez następny rok.

Przybrała ona kształt chwilę później, po tym jak przedstawiono mnie kolegom z klasy.

– Oto nowo przybyły do naszej szkoły Han Byong-tae. Mam nadzieję, że będziecie od tej pory w dobrych stosunkach.

---

<sup>1</sup> *makgeolli* – tradycyjny koreański napój alkoholowy na bazie ryżu.



Po tym krótkim wprowadzeniu wychowawca usadził mnie w wolnej ławce z tyłu klasy i bezzwłocznie przeszedł do prowadzenia lekcji. Nie byłem w stanie zdławić w sobie rozczarowania tym jakże skromnym powitaniem. Miałem w pamięci to, jak nauczyciele z Seulu przedstawiali swoich nowo przybyłych podopiecznych – obsypywali ich pochwałami do tego stopnia, że wprawiali ich w zakłopotanie. Nie musiał opowiadać cudów, wystarczy, że wspomniałby innym dzieciom o moich osiągnięciach. Liczyłem, że pomoże mi to w budowaniu relacji z nowymi kolegami.

Miałem wtedy na koncie kilka sukcesów, które można byłoby zaprezentować. Po pierwsze, nauka. Może nie zawsze byłem najlepszym uczniem, ale jednak zaliczałem się do pierwszej piątki w klasie w swojej wyjątkowej, prestiżowej seulskiej szkole. Był to dla mnie cichy powód do dumy, który w niemałym stopniu przysłużył mi się nie tylko do utrzymywania pomyślnych relacji z nauczycielami, lecz także z kolegami z klasy. Ponadto byłem też uzdolniony plastycznie. Nawet jeśli nie w stopniu pozwalającym na wygrywanie nagród w krajowych konkursach sztuk plastycznych dla młodzieży, to niejednokrotnie zdobywałem wyróżnienia w konkursach w Seulu. Matka zapewne próbowała podkreślać te umiejętności i cechy mojego charakteru nie raz, ale wychowawca wszystko zignorował. Także zajęcie mojego ojca mogło, w zależności od sytuacji, zadziałać na moją korzyść. Nieważne, że w Seulu spotkało go niepowodzenie, tak istotne, że wyłądownął tutaj. Mój ojciec był jednak urzędnikiem państwowym wysokiej rangi, jakich w tej mieścinie można było zliczyć na palcach jednej ręki.

Chłopcy z klasy okazali się tak samo niegościnni jak wychowawca. Kiedy nowy uczeń przychodzi do szkoły w Seulu, koledzy wykorzystują pierwszą przerwę, żeby okrążyć go i zarzucić całą masą pytań – na przykład czy dobrze się uczy, czy jest silny, czy jest z dobrego domu. Wszystko to miało służyć jako materiał dowodowy, podstawa do późniejszego ustalenia relacji z rówieśnikami. Jednak moi nowi koledzy z klasy nie byli tym zbytnio zainteresowani. Podczas przerw zerkali tylko z odległości i dopiero kiedy zaczęła się przerwa obiadowa, grupka chłopców podeszła do mnie, ale tylko po to, żeby zapytać, czy jeździłem tramwajem albo czy widziałem Bramę Południową. W zasadzie jedynym, co podziwiali i czego mi zazdrościli, były przybory szkolne wysokiej jakości, jakie miałem tylko ja.

Tym, co sprawiło, że ten pierwszy dzień w nowej szkole, od którego dziś mija trzydzieści lat, jest ciągle żywy w mojej pamięci, było przede wszystkim spotkanie z Om Sok-dae.

– Wszyscy z drogi!

Kilku chłopców stało wokół mnie, zadając bzdurne pytania, kiedy nagle z tyłu dotarł do moich uszu jego niski głos. Brzmiał na tyle dorośle, że jako nowy uczeń w pierwszej chwili zastanawiałem się, czy może wychowawca nie wrócił do klasy. Zaskoczeni chłopcy rozstąpili się. Ja także byłem zdumiony, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem chłopca, który siedział na końcu środkowego rzędu i cierpliwie nas obserwował.

Minęła zaledwie godzina, odkąd przydzielono nas do tej samej klasy, a ja już go rozpoznałem. Zwrócił moją uwagę, kiedy po raz pierwszy wszedłem do sali razem z wychowawcą. Po sposobie, w jaki zwoływał do zbiórki i ukłonu, odgadłem, że jest gospodarzem. Dla mnie tym, co natychmiast

wyróżniało go spomiędzy sześćdziesięciu pozostałych osób o raczej podobnych gabarytach, był jednak jego wzrost: gdy siedział, wydawał się o głowę wyższy od pozostałych. No i jego przeszywające spojrzenie...

– Nazywasz się Han Byong-tae, tak? Podejź no tu – powiedział tak samo jak przedtem, niskim, lecz stanowczym tonem.

Mimo że nawet nie skinął na mnie palcem, prawie natychmiast zerwałem się z miejsca; jego spojrzenie przyciągało mnie z dziwną mocą.

Postanowiłem uzbroić się w zaciekłość godną seulczyka. Oto moje pierwsze starcie – pomyślałem i zdecydowałem się wytrwać ile będzie trzeba. Wiedziałem, że jeśli już na początku zrobię wrażenie słabego, moje życie tutaj nie będzie należało do łatwych. Ogarnęła mnie również osobliwa chęć oporu wobec niezrozumiałego dla mnie całkowitego podporządkowania pozostałych chłopców.

– O co ci chodzi? – zapytałem nieustępliwie, choć ze ściśniętym żołądkiem. W odpowiedzi tylko zachichotał.

– Chcę cię o coś zapytać.

– Jeśli chcesz o coś zapytać, to sam tu podejź.

– Co? – Kąciki jego oczu uniosły się momentalnie, po czym zachichotał raz jeszcze, jakby usłyszał coś niedorzecznego.

Patrzył na mnie nieprzerwanie tym swoim przeszywającym wzrokiem, nic nie mówił i naprawdę niezwykle trudno było mi wytrzymać jego spojrzenie. Czułem jednak, że teraz nie mogę się już wycofać. To też jest rodzaj starcia – pomyślałem, zbierając w sobie wszystkie siły. Wtedy dwóch drabów siedzących obok niego wstało i podeszło do mnie.

– Wstawaj, ćwoku!

Obaj mieli wściekły wyraz twarzy. W każdej chwili spodziewałem się ich ataku, choć wiedziałem doskonale, że sam nie dam rady ich pokonać. Zaskoczony poderwałem się z miejsca. Wtedy jeden z nich, rozwścieczony, złapał mnie za kołnierz, krzycząc:

– Ćwoku, Om Sok-dae powiedział, żebyś podszedł do niego, nie? Nasz gospodarz!

Wtedy to po raz pierwszy usłyszałem imię Om Sok-dae. I w momencie gdy dotarło do moich uszu, wryło mi się głęboko w pamięć – możliwe, że stało się tak przez sposób, w jaki ten chłopak je wypowiedział. Brzmiało jak imię człowieka dystyngowanego i wysoce poważanego, sprawiało wrażenie, że tej osobie naturalnie należą się szacunek i posłuszeństwo.

Znów poczułem się malutki, ale nie mogłem się już wycofać. Miałem przecież na sobie spojrzenie sześćdziesięciu par oczu.

– Coście za jedni?

– Ja jestem przewodniczącym sekcji WF-u, a on utrzymuje porządek w sali.

– To czego chcecie...?

– Przecież Om Sok-dae, gospodarz klasy, kazał ci podejść do siebie, nie?

Dopiero teraz, słysząc po raz drugi, że to jest Om Sok-dae, że jest gospodarzem oraz że to wystarczający powód, dla którego mam podejść do niego i być w pełnej gotowości, poczułem się naprawdę onieśmielony.

Ze swojego doświadczenia w Seulu pamiętałem, że funkcja gospodarza nie miała wiele wspólnego z siłą fizyczną. Czasami gospodarzem zostawał ten, kto był dobrze sytuowany albo sprawny fizycznie i dlatego zdobywał popularność. Zwykle jednak gospodarza i jego zastępcę